

odpis

229

JAROSŁAW
MOLENDĄ

PROFESOR I CYJANEK

...21 stycznia
1955 r. w zamiarze
pozbawienia życia
żony swojej Teresy
Tarwid podał jej
w podstępny sposób
do zażycia /ojanek po-
trucizną..."

Czy profesor zabił?

Sprawa Tarwida
to najgłośniejszy
proces poszlakowy
PRL.

LIRA
WYDAWNICTWO



PROFESOR I CYJANEK

JAROSŁAW
MOLENDĄ

**PROFESOR
I CYJANEK**

Redakcja: Dagmara Ślęk-Paw

Korekta: Renata Kufirska-Biegajło

Skład: Igor Nowaczyk

Projekt okładki: Magdalena Wójcik

Zdjęcie na okładce i źródła ilustracji: Wikimedia Commons, NAC,
Archiwum Muzeum i Instytutu Zoologii PAN, zdjęcia z akt sprawy

Retusz zdjęcia okładkowego: Katarzyna Stachacz

Redakcja techniczna: Kaja Mikoszevska

Producenci wydawniczy:

Anna Laskowska, Magdalena Wójcik, Wojciech Jannasz

Wydawca: Marek Jannasz

© Copyright by Lira Publishing Sp. z o.o., Warszawa 2021





Wydanie pierwsze

Warszawa 2021

ISBN: 978-83-66730-59-5

L  **R** **A**
W Y D A W N I C T W O

www.wydawnictwolira.pl

Wydawnictwa Lira szukaj też na:    

Druk i oprawa: Pozkal

*Zbrodnia nie jest sumą
słabości człowieka.*

Kazimierz Brandys,
Listy do pani Z.

WSTĘP

Teresa Tarwid w chwili śmierci miała na sobie „bordo-
wą bluzkę, fartuszek kuchenny w kratę, szarą spódnicę,
na nogach pończochy, a na nich ciepłe skarpety, na prawej
ręce obrączka, pod fartuchem biały pasek, na szyi białe
korale”^{1*}. Obok niej leżała książka *Dziewczęta z Nowolip-
pek*. W łóżeczkach nieopodal — dwie córki liczące odpo-
wiednio dwa lata i trzy miesiące oraz dziesięć miesięcy.

Tak zaczyna się dochodzenie w tej ponurej sprawie
z połowy XX wieku, któremu tor nadał na karcie ele-
ganckiego milicyjnego notesu funkcjonariusz przybyły
pewnej mroźnej styczniowej nocy 1955 roku do miesz-
kanka pod numerem 17 przy ul. Nowy Świat 52. Ofiarą
była żona znanego w warszawskim świecie intelektualisty,
profesora zoologii Kazimierza Tarwida.

Niczym tak mocno nie żyje ulica, jak głośnym procesem
karnym. Ostatnie lata przyniosły nam takie spektakle sądo-
wo-telewizyjne, jak choćby sprawa mamy Madzi czy proces
dotyczący śmierci (zabójstwa?) Ewy Tylman w Poznaniu.
Niedawne uniewinnienie Tomasza Komendy, skazanego
w poszlakowym procesie na wieloletnie więzienie i unie-
winnionego po odbyciu osiemnastu lat z orzeczonej kary,
ożywiło dyskusję o skazaniach w procesach poszlakowych.

* Przypisy znajdują się na końcu książki (s. 323-326).

Podobny *casus* miała zapomniana już sprawa mordu w Ultimo, która pozornie wyglądała na oczywistą. W grudniu 1997 roku w sklepie Ultimo w Warszawie zginął Daniel Jaźwiński. Ciężko ranna została kierowniczka butiku — jego żona Anna, która była jedynym świadkiem zbrodni. To ona wskazała winną, byłą ekspedientkę, zwolnioną za kradzieże, Beatę Kamińską. Głośny proces oskarżonej opierał się wyłącznie na poszlakach i zeznaniach Anny Jaźwińskiej. Sąd nie dysponował liniami papilarnymi, włosami czy śladami krwi. O tym,



Fot. 1. Ulica Nowy Świat, gdzie mieszkali Tarwidowie*

* Wykaz ilustracji, źródeł i autorów zdjęć znajduje się na końcu książki. Ze względu na szczupłość fotograficznego materiału dowodowego i procesowego część zdjęć ma charakter poglądowy i nie przedstawia opisywanych osób i miejsc.

że strzelała, Kamińska miała powiedzieć swojemu narzeczonemu. Mężczyzna najpierw to zeznał, a potem odwołał, twierdząc, że do obciążających Beatę też został zmuszony przez policję.

W dodatku sąd pierwszej instancji zwraca uwagę, że w relacji świadka Anny Jaźwińskiej też są sprzeczności. I zastanawia się, czy zszokowana tragedią nie uległa czyjejs (policjantów, rodziny, znajomych?) sugestii co do osoby sprawcy. Albo czy sama podświadomie nie przyjęła jako prawdziwego tego scenariusza wypadków, który był tylko wysoce prawdopodobny.

W końcu sąd uznaje, że wątpliwości tych nie da się już usunąć poprzez czynności dowodowe i — narażając się na okrzyki „hańba” z ław dla publiczności oraz apelację — postanawia oskarżoną uniewinnić. Prokuratura faktycznie się odwołuje. Sąd apelacyjny podziela zaś jej zarzuty i uchyla wyrok. Jednak sam nie może skazać uniewinnionego wcześniej oskarżonego, a tylko zwrócić sprawę do ponownego rozpatrzenia. Jest bowiem tak zwanym sądem prawa, czyli bada jedynie prawidłowość postępowania sądu niższej instancji, nie zaś meritum sprawy — to należy do pierwszej instancji (to ją nazywa się w prawniczym slangu „sądem faktu”)².

Jednak kolejny sąd pierwszej instancji (w innym już składzie) również uniewinnia Beatę Kamińską. Ba, ma obiekcje co do wiarygodności opowieści Anny Jaźwińskiej — i to pomimo że biegli wykluczają, by w jej przypadku mogło zajść zjawisko powstania tak zwanej swojej prawdy. Wydanie werdyktu wbrew opinii biegłych

to kolejny element, który może dziwić postronnych obserwatorów. Lecz znowu: wedle kodeksu zdanie biegłych nie jest dla sądu wiążące. Nie bez powodu juryści mają, że „najwyższym biegłym jest sąd”.

Jak zauważa Krzysztof Burnetko w artykule *Czy sąd ma zawsze rację?*, opublikowanym kilkanaście lat temu w „Polityce”, samych prawników mogło za to zdziwić co innego: w praktyce rzadko się zdarza, by sąd, który zajął się sprawą zwróconą w wyniku apelacji, utrzymał pierwotny wyrok. Bowiem sąd apelacyjny przekazuje mu też swoje wskazania co do dalszego postępowania — i mają one moc wiążącą. Ponowne uniewinnienie dowodzi, że problem nie sprowadzał się do proceduralnej kosmetyki.

Tak czy tak, sekwencja się powtórzyła: apelacja i kolejny zwrot sprawy do ponownego rozpoznania. Dopiero teraz zapada wyrok skazujący. Za jego przesłankę służy nowy dowód: oto policyjny technik — po ośmiu latach od zdarzenia! — miał sobie przypomnieć, że zapach oskarżonej zidentyfikował na zewnątrz, a nie w środku kasetki ze sklepowymi pieniędzmi, co świadczy o tym, że Beata Kamińska była na miejscu zbrodni.

Jednak i tu są powody do zdumienia: począwszy od rangi dowodu, który przesądził o 25-letnim wyroku, po fakt, że sąd skazał Beatę Kamińską mimo dwóch wcześniejszych uniewinnień (skądinąd niejednomyślnie — przeciwna była przewodnicząca składu). Paradoksem tej sprawy jest, że każdy z orzekających w niej sądów — tak te, które uniewinniły oskarżoną, jak ten, który ją skazał — podjął na swój sposób odważną decyzję.



Fot. 2. Proces Rity Gorgonowej

Zderzyły się tu przecież — niczym w najgłośniejszym chyba procesie karnym II RP, czyli sprawie Gorgonowej — rzetelna dociekliwość, szacunek dla faktów i respekt dla reguł prawa, żądającego dowodów winy, z wyrokowaniem siłą rzeczy głównie na podstawie poszlak i przypuszczeń, lękiem przed nieukaraną zbrodnią oraz zbiorową histerią. Trzy procesy w jednej sprawie. W dwóch werdykt brzmi: uniewinnić. W ostatnim jednak sąd orzeka inaczej: dwadzieścia pięć lat więzienia.

Paradoksem jest i to, że ciąg sprzecznych werdyktów potwierdza tylko, jaką wagę ma proceduralna sfera prawa karnego: tak dla oskarżonych i ofiar, jak i samego poczucia sprawiedliwości. Opinia publiczna każdym wyrokiem w tej sprawie była zaskoczona. Przy pierwszych dwóch procesach zdziwienie mogła budzić konsekwencja sądu

w respektowaniu zasady *in dubio pro reo*, czyli tłumaczenia wszelkich wątpliwości na korzyść oskarżonej. Reguła ta (potwierdzona w art. 5 obowiązującego Kodeksu postępowania karnego) jest kluczową, ale i bodaj najczęściej kontestowaną regułą cywilizowanego procesu karnego.

Procesy takie trafiały do sądów tak sto lat temu, jak i trafiają obecnie. Ale i tak są one niczym wobec tego, co działo się przed laty. Bez internetu, bez mediów społecznościowych, nawet bez telewizji, a i tak pół Polski Ludowej śledziło poszlakowy proces Kazimierza Tarwida, którego Sąd Wojewódzki w Warszawie po rozpoznaniu sprawy oskarżył o to, że w „dniu 21 stycznia 1955 roku w zamiarze pozbawienia życia swojej żony Teresy Tarwid podał jej w podstępny sposób do zażycia truciznę — cyjanek potasu, po spożyciu którego Teresa Tarwid poniosła śmierć...”.

Sprawa okazała się nadzwyczaj trudna do rozstrzygnięcia, a na jej *dramatis personae* składali się ludzie nietuzinkowi.

CZEŚĆ I

*Is fecit,
cui prodest*

ROZDZIAŁ I

Taki związek mógł się zdarzyć na każdej wyższej uczelni na świecie. On — przystojny i inteligentny profesor, mężczyzna z pozycją, do którego lgną koleżanki po fachu i studentki. Ona — jego podopieczna, studentka lub laborantka zakochana po uszy. Po tym, jak mąż rozchodzi się ze starszą żoną, ta młodsza zajmuje jej miejsce. Od tej pory to ona będzie „panią profesorową”.

Taki sam scenariusz zrealizował się w murach Szkoły Głównej Gospodarstwa Wiejskiego. To tu pracował bardzo ceniony biolog, prekursor ekologii w Polsce — profesor Kazimierz Tarwid (związany był również z Uniwersytetem Warszawskim oraz Muzeum i Instytutem Zoologii). Miał wszystko, czym mógł przyciągać kobiety — sławę, pozycję i pieniądze (te ostatnie oczywiście odpowiednie jak na warunki Polski Ludowej). Był przystojny, wysoki i lubił romansować — a przynajmniej tak twierdzili „życzliwi”. W kularach plotkowano, że cenił sobie kobiece wdzięki.

Urodzony w 1909 roku w Pskowie Kazimierz Tarwid ukończył studia na Wydziale Biologii Uniwersytetu Warszawskiego, po czym w II Rzeczypospolitej pracował w Państwowym Muzeum Zoologicznym. Począwszy od 1934 roku publikował też swoje prace naukowe, koncentrując się na badaniu życia ochotkowatych, a następnie



Fot. 3. Zakład Zoologii około 1930 roku — czwarty z lewej w ostatnim rzędzie stoi Kazimierz Tarwid

komarów, owadów z rzędu *diptera* — innymi słowy pospolitych w Polsce muchówek — co doprowadziło go do rozwijania teorii ekologii (w kronikach nauki zapisał się jako jeden ze współtwórców polskiej szkoły ekologicznej).

Z nielicznych informacji o nim wynika, że w czasie wojny i okupacji niemieckiej od jesieni 1940 lub 1941 roku prowadził magazyn dywersji przemysłowej i kolejowej organizacji „Kedyw”. Podobno otrzymał rozkaz wykonania wyroku na dwóch osobach (wiedzę na ten temat miał mieć Stefan Rybicki, pseudonim Andrzej), ale nie potrafił — jak sam przyznał — „strzelać do ludzi żywych”.

Gdy wybuchło powstanie warszawskie, jako 35-letni porucznik Armii Krajowej, noszący pseudonim Antoni, stanął do walki w szeregach batalionu im. Jana Kilińskiego (8. kompania, włączona 3 sierpnia 1944 roku, dawny „Kedyw Kolegium C”). W skład tego batalionu wchodziły jednostki wojskowe i specjalistyczne, na przykład badawcza, wywiadowcza, produkcyjna, sabotażowa, łączności. Porucznik Kazimierz Tarwid dowodził jednostką produkcyjną (dowódcą jednostki badawczej był porucznik doktor Jan Żabiński).

Oprócz działalności konspiracyjnej kierował muzeum, a zarazem uczestniczył w tajnym nauczaniu, wykładając zoologię w konspiracyjnym Studium Farmaceutycznym działającego w podziemiu Uniwersytetu Jagiellońskiego. Po wojnie powrócił do pracy dydaktycznej i naukowej w Szkole Głównej Gospodarstwa Wiejskiego i na rodzimym Uniwersytecie Warszawskim, gdzie przeszedł przez wszystkie kolejne szczeble kariery: od stanowiska starszego asystenta przez adiunkta, docenta do — od 1954 roku — profesora nadzwyczajnego.

Opublikował wiele prac naukowych, ale przede wszystkim uznawano go za świetnego organizatora, bez reszty oddanego Zakładowi Ekologii UW, którym kierował, mającego też wielkie zasługi przy organizacji Instytutu Ekologii PAN oraz Stacji Hydrobiologicznej w Mikołajkach. Prowadzili ją jego wychowankowie Wanda i Andrzej Szczepańscy.

Przez wiele lat pełnił funkcję przewodniczącego komisji przydziału pracy dla absolwentów oraz rzeczoznawcy



Fot. 4. Łódź, Stacja Ochrony Roślin, 1931 rok. Pierwszy od lewej Kazimierz Tarwid

w Centralnej Komisji Kwalifikacyjnej dla Pracowników Nauki. Wielu kolegów zazdrościło mu, że potrafił skracać dystans w relacjach ze studentami. Ba, pomagał im w docieraniu do materiałów źródłowych i pisaniu prac magisterskich.

„Działała Komisja Dyscyplinarna, ale była bardzo łagodna, wszystkich usprawiedliwiała. Wcielono mnie do tej Komisji Dyscyplinarnej — wspominała Zofia Świetlińska — i męczyłam się w niej trzy lata. Jej członkami byli prof. Wincenty Lesław Wiśniewski — dziekan, prof. Kazimierz Tarwid — wtedy docent, i ja jako przedstawiciel młodzieży. Docent Tarwid i prof. Wiśniewski orientowali się, że studenci czasami zarobkują, czasami niektórzy studiują równolegle po cichu medycynę, ale na to wszystko przymykało się oczy. [...]

Dzięki pracy w Komisji Dyscyplinarnej miałam dościs bliskie kontakty z doc. Tarwidem. On mi tłumaczył, że systematyka roślin nie ma przyszłości, i pytał, dlaczego ja się na to decyduję. Odpowiedziałam, że miałam w ogóle inny zamysł, bo zdawałam na biologię, licząc na możliwość pracy w hodowli i genetyce roślin. Docent Tarwid na to: «Jeśli tak, to mam dla pani propozycję, bo przy SGGW powstaje jednostka PAN-owska, która będzie się zajmowała genetyką. I gdyby byli zainteresowani pani udziałem, załatwilibyśmy pani studia magisterskie na fizjologii roślin na UW»¹.

Wśród uczonych miał różne opinie. Wielu starszych biologów twierdziło, że jest zdolny, ale niejasno się wyraża. Według rektora UW „[...] jego stosunek do młodzieży był serdeczny i był przez nią na ogół lubiany. Obowiązki swoje zarówno dydaktyczne, jak i administracyjne spełniał bez zarzutu. Opinie o działalności naukowej prof. Tarwida i wartości jego prac i poglądów naukowych są bardzo niejednolite»².

Profesor Kazimierz Adamczewski dodawał: „Każdą sytuację roztrząsał on spokojnie rozumowo”. Wpływowy zarówno w strukturach partyjno-rządowych, jak i naukowych profesor biolog Kazimierz Petruszewicz mówił: „Uważali Tarwida za wyjątkowo zdolnego, twórczego pracownika naukowego... Miał i wady, pisał i wysławiał się w sposób niezrozumiały... Pomagał ludziom, jeśli ktoś był w ciężkich warunkach życiowych»³.

Pierwszą żonę, Helenę Siwicką, poznał jeszcze na studiach i poślubił w 1935 roku — przeżyli wspólnie



Fot. 5.
Fotografia legitymacyjna
Kazimierza Tarwida z 1939 roku.
Na fotografii widoczny fragment
odcisku stempla: „[Muz]eum
Zoologiczne”

piętnaście lat i mieli dwoje dzieci, na które po rozwodzie skrupulatnie płacił alimenty. Swoją drugą żonę, młodszą o dwadzieścia lat Teresę Biesiekierską, powszechnie lubianą, ambitną i obiecującą pracownicę warszawskiej SGGW, poznał w 1951 roku, gdy był docentem Uniwersytetu Warszawskiego.

Wzięli ślub rok później. Docent Jadwiga Biesiekierska z mieszanymi uczuciami przyjęła zięcia, gdyż nie podobała się jej znaczna różnica wieku pomiędzy małżonkami oraz jego dzieci z pierwszego małżeństwa. Co ważne, po śmierci syna w powstaniu warszawskim, córka stała się jej oczkiem w głowie. Tarwidowie pozornie byli idealnym małżeństwem. Oboje ze świata naukowego, reprezentowali warszawskie wyższe sfery. Dla matki — pracownika naukowego i lekarki w Centralnym Instytucie Ochrony Pracy — takie ambicje były doskonale zrozumiałe i godne poparcia.

A jednak nie wszystko w tej układance pasowało. Życie nie było usłane różami — Tarwidowie mieszkali

w oficynie, w jednym pokoju z kuchnią. Notatka służbowa z 11 maja 1956 roku: „[...] jak wynika z wypowiedzi lokatorów tam zamieszkałych to nie żyli oni w dobrych stosunkach, gdyż przez całe trzy lata zamieszkania przy ul. Nowy Świat 52 w ogóle ani razu nie byli widziani oboje razem, ażeby wychodzili na spacer, czy też gdzieś do kina czy do teatru. Sam Tarwid w miejscu zamieszkania był bardzo mało widywany”^{*}.

Szybko okazało się, że życie rodzinne koliduje z rozbudzonymi ambicjami zawodowymi. Profesor był typem pracoholika, który nie poświęcał zbyt wiele czasu rodzinie. Pracował po dwanaście, a nawet szesnaście godzin dziennie. Wracał do domu późnym wieczorem, choć bywało, że nie przychodził w ogóle. Zarywał nocki w Zakładzie Ekologii Polskiej Akademii Nauk. Tylko dzięki zaangażowaniu opiekunki do dzieci oraz intensywnej pomocy ze strony matki młodsza pani Tarwidowa mogła w nawale obowiązków rodzicielskich myśleć o złożeniu i obronie własnej pracy doktorskiej.

To dlatego prace domowe wykonywali razem z żoną dopiero późnym wieczorem, a życie rodzinne zaczynało się u nich już o piątej rano. Czasu na rozmowę, na wsłuchanie się w partnera, nie było zbyt dużo. Teresa musiała zadowolić się tym, że ma Kazika na raty, że nie jest na wyłączność, musi dzielić go z jego naukową pasją i powołaniem. Nie mieli czasu na utrzymywanie kontaktów

* Wszystkie cytaty z akt sądowych dla oddania kolorytu epoki pozostawiłem w wersji oryginalnej, pozwalając sobie co najwyżej na niewielkie ingerencje w celu ułatwienia lektury.

towarzyskich, choć starali się chodzić niekiedy do teatru lub na co ciekawsze wystawy.

Tego styczniowego wieczoru 1955 roku, w odróżnieniu od dziesiątków podobnych wieczorów, znaleźli w końcu czas na to, by być razem. Teresa zaprosiła bowiem na kolację profesora Eugeniusza Grabdę, dlatego też przypominała mężowi, żeby koniecznie był w domu wcześniej. Feralnego dnia z pracy wróciła jak zwykle około godziny 16.00. W domu była jej matka oraz pomoc domowa Michalina Peresada, nazywana Misią.

Potem — według Kazimierza Tarwida — między godziną 18.00 a 19.00 stawił się umówiony wcześniej profesor Eugeniusz Grabda z Wyższej Szkoły Rolniczej w Olsztynie. Pan domu pojawił się około godziny 20.00. Pół godziny później w drzwiach stanął niezapowiedziany profesor Stanisław Adamczewski. Początkowo rozmowa dotyczyła kwestii naukowych. Po przeniesieniu się do kuchni, gdzie zasiedli do kolacji, do ich grona dołączyła Teresa Tarwid.

Wieczór zdawał się udany. Oboje gospodarze mieli dobre humory. Teresa chętnie opowiadała o planach naukowych. Stanisław Adamczewski podczas przesłuchania 25 stycznia 1955 roku zeznał, że najpierw rozmowa toczyła się wokół spraw służbowych:

„[...] w międzyczasie Teresa Tarwid wspomniała o proszku «cyjanek potasu», który otrzymała «z zakładu», lecz jakiego nie mówiła, że otrzymała go dla męża, prof. Grabda zapytał dlaczego nie kupują tego, w ogólnej rozmowie Grabda otrzymał wyjaśnienie, że normalnie



Fot. 6. Nieposprzątany stół, przy którym siedzieli goście i domownicy

kupują, lecz z powodu zaszłych zakłóceń z zaopatrzeniem musieli się zaopatrzyć inną drogą. Tarwid wyjaśnił, że u niego w Zakładzie zużywa się cyjanku bardzo dużo do celów zatruwania owadów i innych zwierząt doświadczalnych”.

W trakcie spotkania ze znajomymi pani domu miała nawet pokazywać słoiczek z trucizną. Tłumaczyła, jak zabezpieczyć dawkę przy użyciu aptecznej kapsułki... Goście opuścili mieszkanie przy Nowym Świecie około godziny 21.00. Adamczewski, wychodząc, przypomniał jeszcze Tarwidowi o zaległym referacie, który profesor obiecał dostarczyć w przyszłym tygodniu. Umówili się, że zostawi go żonie, którą łatwiej zastać w domu niż jego, a ona nawet zobowiązała się przypomnieć o tym mężowi. Grabda z Adamczewskim rozstali się na najbliższym

przystanku, gdzie ten pierwszy wszedł do autobusu linii 107, a drugi pieszo wrócił do domu.

Kwadrans po ich wyjściu zjawiła się matka profesora, Leontyna Tarwid. Chciała pożyczyć 300 zł dla znajomej, Ireny Czech, która musiała pojechać do chorej matki w Białymstoku. Potem, już w śledztwie, Irena Czech zeznała, że według jej wiedzy owe pieniądze pożyczyła jej żona Tarwida. Tarwidowie w dobrym nastroju jakies pół godziny rozmawiali, po czym Kazimierz — mimo późnej pory — zaczął się ubierać.

Zdumionej i rozczarowanej małżonce wyjaśnił, że wyskoczy na chwilę do matki, by dowiedzieć się więcej o nurtującym ją problemie. Teresa poprosiła, by wrócił najpóźniej o godzinie 23.00. Na wychodnym Tarwid dał Teresie proszek od bólu głowy, czuła bowiem dolegliwości spowodowane zaczynającą się menstruacją.

„Pamiętam — zeznał potem mąż — że żona prosiła mnie o proszek duży, pamiętam, że proszek ten w opłatku dałem żonie, lecz nie pamiętam, czy do ręki, czy też położyłem go na stół, pamiętam, że przyniosłem do pokoju wodę w filiżance. [...] Nie pamiętam, czy Teresa w mojej obecności zażyła podany przeze mnie proszek, wnioskuje jednak, że proszku tego w mojej obecności nie zażyła, ponieważ proszek ten pozostał na stole”.

Teresa została sama. Jak zwykle sama. Znów musiał zniknąć. Co było tak pilnego, że musiał ponownie wyjść? Okazało się, że po przyjeździe do matki, która mieszkała ze swoją córką, a jego siostrą, rozmawiali o jej egzaminach i jego dzieciach z pierwszego małżeństwa (starsza

córka miała latem jechać na obóz). Po godzinie Tarwid wrócił do domu. Drzwi do mieszkania były zamknięte. Mimo dzwonienia nikt nie otworzył. Na szczęście wziął ze sobą klucze. Wewnątrz było cicho, choć światło było włączone. Dzieci już spały. Na gorąco, podczas pierwszego przesłuchania, które prowadził Jerzy Szeluga*, profesor Tarwid zeznał:

„Okolo godz. 22.00 wyszedłem z mieszkania do swojej matki. Zaznaczam, że kiedy wychodziłem żonie zostawiłem na stole w pokoju proszek od bólu głowy wyjęty z mojej kieszeni, o który ona prosiła, i filiżankę z wodą. Dziecku [dwóch wyrazów nie jestem w stanie odczytać] dałem pół proszku aspiryny, gdyż była przeziębiona. Kiedy opuszczałem mieszkanie żona Teresa leżała na tapczanie czytając książkę. O godz. 23.00 wróciłem do swojego mieszkania i otworzyłem drzwi swoimi kluczami. Po wejściu do mieszkania skierowałem się w ubraniu do pokoju, gdyż zaniepokoiłem się wyglądem mojej żony. Po dojsciu dotknąłem rękami twarzy i mówiąc coś do żony, twarz była wilgotna i zimna, szukałem pulsu i jego nie znalazłem. Natychmiast w ubiorze wybiegłem na klatkę schodową i obudziłem sąsiadkę ob. Mardzińską prosząc aby zaalarmowała pogotowie co uczyniła. Wróciłem sam do mieszkania usiłowałem coś zrobić koło żony Teresy (co robiłem nie potrafię odpowiedzieć) wy-daje mi się, że nacierałem skronie”.

* Znalazłem informację, że Jerzy Szeluga (choć nie mam pewności, że to ta sama osoba) Uchwałą Rady Państwa z dnia 22 lipca 1955 roku nr 0/1396 — na wniosek Urzędu Rady Ministrów — odznaczony został „Medalem 10-lecia Polski Ludowej”.

Dalej nie podaję, bo połowę musiałbym odgadywać ze względu na niechlujny charakter pisma funkcjonariusza MO oraz karkołomną składnię, która uniemożliwia jakąkolwiek próbę domysłu treści meldunku chociaż z kontekstu. Dalszy ciąg wypadków rekonstruuję na podstawie przesłuchania Kazimierza Tarwida, przeprowadzonego prawie dwa lata później, 10 stycznia 1957 roku:

„Uderzyła mnie niewygodna, nienaturalna pozycja jej położenia. Wziąłem za rękę i nie wyczułem tętna, coś do niej mówiłem usiłowałem ją położyć wygodniej, przygotować do sztucznego oddychania, nawet zacząłem robić sztuczne oddychanie, ręką dotknąłem jej twarzy, była wilgotna taka lepka, ścierałem jej twarz, czym nie pamiętam, stwierdzam, że zasadniczego jej położenia nie zmieniałem, gdyż była za ciężka”.

Jednak dwa lata wcześniej twierdził coś innego: „[...] ponieważ wydawało mi się, że żona leży niewygodnie, chciałem ułożyć ją na tapczanie bardziej wygodnie, próbowałem unieść i ułożyć wzdłuż tapczanu, jednak to mi się nie udało, pozycje jej jednak nieco zmieniłem i pozycja, w jakiej się moja żona znajduje na okazanych mi zdjęciach jest nieco inna, aniżeli pozycja, w której ją zastałem wchodząc do mieszkania”.

Ale po kolei. Oddajmy głos Tarwidowi, który po bezskutecznej próbie ocucenia żony ponownie wybiegł „[...] do ob. Mardzińskiej, która otworzyła drzwi i powiedziała, że pogotowie prosi o wyjście na ulicę gdzie wyszedłem a ob. Mardzińska weszła do mieszkania żeby uważać na dzieci, które spały. Na ulicy czekałem około ile



Fot. 7. Zmarła Teresa Tarwid

minut czekałem długo sobie nie uświadomiłem. Po przyjeździe lekarza z pogotowia, który stwierdził zgon. Po wodu zgonu nie muk określić”.

W podobnym tonie zeznawała sąsiadka Janina Mordzińska: „Lekarz pogotowia przybył po upływie paru minut, po wejściu lekarza do mieszkania ja zatrzymałam się w przedpokoju, a lekarz wraz z Tarwidem i kierowcą weszli do pokoju gdzie leżała na tapczanie Teresa Tarwid, lekarz sprawdził puls i oświadczył, że nie żyje, więc lekarz kazał wyjść Tarwidowi z pokoju i sam wyszedł do przedpokoju, a kierowca pojechał zameldować na milicji. W tym czasie jak byliśmy w przedpokoju lekarz oświadczył, że na stole stoi proszek «cyjanek potasu», na to bardzo się zdziwił się ob. Tarwid mówiąc że jakim sposobem proszek ten znalazł się na stole ponieważ znajdował się w łazience”.

Srodek. zaplece N. Smiatki Talam 238
 POGOTOWIE RATUNKOWE FORMULARZ P.R. Nr 1
 w wyjazd od *OPIS* 13. ROK SPRAWOZDAWCZY 195...
 KARTA DORAŻNEJ POMOCY Nr 07504
 (ZLECENIE WYJAZDU) 425337

1. Nazwisko i imię _____ dysponującego wyjazd _____ Nr (z. pracy) _____
 2. Dnia 21. 1955 Godz. wezwania 23 Godz. wyjazdu 23 Godz. powrotu 23
 3. Powód wezwania nieprzyd. Miejsce wypadku (zachorowania) N. Smiatki 52-17
 4. Nazwisko i imię chorego Jarwid Teresa Wiek 26 Zawód 26-
 5. Nazwisko i imię wzywającego (Nr telefonu) Marwanowski 63745
 6. Godz. przybycia na miejsce wypadku (zachorowania) 2330
 7. Rozpoznanie stwierdzono zgon
 8. Przyczyna wypadku _____
 9. Rodzaj udzielonej pomocy _____
 10. Dalsze postępowanie z chorym _____
 11. Miejsce zamieszkania chorego J.W.
 12. Nazwa i adres zakładu pracy w którym chory pracuje P.G.N. aspirant.
 13. Legitymacja Ubezpie. Społ., zakładu pracy, dowód osobisty (podkreślić) Nr _____
 14. Ubezpieczony, członek rodziny ubezpiezonego, samooplacący (podkreślić) _____
 15. Jeśli chory członek rodziny ubezpiecz., podać nazwisko i imię ubezpiecz. _____
 16. Czy wezwanie było uzasadnione tak
 17. W wypadku transportu — skąd _____ dokąd _____
 18. Kierowca Sanitariusz Gorkusiewicz Jerkuda Lekarz i jego podpis (pokoźna — pielęgniarka) Dr. Marwanowski
 19. Powód nieprzyjęcia do szpitala Podpis i pieczęć lekarza dyż. szpitala Verbe
 Nazwa szpitala _____ ZOBOWIĄZANE
 20. Ilość przejechanych w obie strony kilometrów 6
 21. Oplacono — nieoplacono _____
 22. Nr kwitu _____
 Należność za _____
 Przejazd karetki zł _____
 Usługa lekarza zł _____
 Leki zł _____
 RAZEM zł _____
 Dnia 10. 3. 1955
 Podpis _____
 przyjmującego opłatę _____
 P.R. 1 C.W.D. Bielańska 18. Zam. 174/zlec.

Fot. 8. Karta dorażnej pomocy Pogotowia Ratunkowego ze stwierdzeniem zgonu Teresy Jarwid

Lekarz pogotowia, Witold Mazurowski, twierdził, że wszedł pierwszy, „[...] za mną sanitariusz a trzeci Tarwid Kazimierz mąż, po wejściu do mieszkania udało mi się prosto do leżącej na tapczanie Tarwid Teresy, przystępując do badania przyczyn stwierdziłem brak tętna na tętnicy promieniowej i na tętnicy szyjnej, oraz stwierdziłem znaczne rozszerzenie źrenic niereagujące na światło. Wtedy poprosiłem sanitariusza o podanie mi słuchawek z walizki stojącej na stole obok tapczanu, w chwili przesunięcia walizki, przy otwieraniu odsłoniła ona słoik stojący na stole, wtedy to mąż denatki wskazał, że na stole stoi słoik z cyjankiem potasu. Ja zapytałem skąd on się tu wziął, na co Tarwid odpowiedział, że został przyniesiony przez jego żonę dla jego celów naukowych, oraz zaznaczył, że jak wychodził około godz. 22.00 to słoik ten stał w łazience. Obok słoika na stole znajdowała się pusta filiżanka i proszek w opłatku. [...] Nie stwierdziwszy akcji serca i oddechu dokonałem próby laku, która wypadła ujemnie, po dokonaniu tych czynności stwierdziłem zgon. Wg mojego zdania to śmierć mogła nastąpić co najwyżej przed kilkunastu minutami”.

Tak po wielu latach wspominał tamte wydarzenia: „Nie byłem biegłym — przyznawał profesor Witold Mazurowski, jeden z nestorów polskiej neurochirurgii — ale czasem szedłem zeznać w jakiejś sprawie. Najgłośniejsza była historia ekologa, profesora Kazimierza Tarwida. W styczniu 1955 roku jego o dwadzieścia lat młodsza żona nagle zmarła zatruta cyjankiem. Osierociła dwoje dzieci. Pracowałem wtedy w pogotowiu. Przyjechałem

na miejsce z sanitariuszem, zobaczyłem martwą młodą kobietę. Przez radio w karetce zawiadomiłem milicję i profesora oskarżono o zabójstwo. Utrzymywał, że jego żona zrobiła sobie lekarstwo na ból głowy i przez pomyłkę, zamiast środka znieczulającego, użyła cyjanku”⁴.

Zdziwiło go, że Kazimierz Tarwid nie zareagował na śmierć żony w żaden sposób. Nie był roztrzęsiony, nie uрониł nawet jednej łzy, nie okazywał żadnych emocji. Wstrząsającą wiadomość przyjął z zupełną obojętnością.

„Tarwid przez cały ten czas był bardzo spokojny — potwierdziła jego sąsiadka — nie załamany. Na stwierdzenie lekarza, że Teresa nie żyje, nie zauważyłam u niego żadnej reakcji. Nic nie powiedział. Patrzyłam wtedy na jego twarz, była jednak spokojna. Nadmieniam, że lekarz w rozmowie ze mną wyraził zdziwienie spokojnym zachowaniem się Tarwida. Lekarz przy tym do mnie powiedział: «niech pani popatrzy, jaką spokojną, wzgl. niezmienną twarz ma ten człowiek»”.

Sanitariusz Leon Perechuda nie odniósł chyba podobnego wrażenia. W każdym razie jego sądowe zeznania są sprzeczne: „Przy wypadkach nagłego zgonu bywałem często, rodzina jest zawsze zrozpaczona. Oskony też był zrozpaczony, nie wiedział co robić, był zdenerwowany”. Wcześniej zeznawał jednak inaczej, więc sąd nakazał odczytanie poprzednich protokołów, na co świadek odpowiedział: „Trudno powiedzieć, czy dokładnie pamiętałem, bo w śledztwie zeznawałem po upływie półtora roku od wypadku. [...] Nie pamiętam, czy jego zachowanie odpowiadało okolicznościom wypadku”.

Poza tym Tarwid musiałby być mistrzem opanowania, perfekcyjnie realizującym swój makiaweliczny plan. Dlaczego tak uważam? Na przykład, prosząc sąsiadkę o zawiadomienie pogotowia, nie powiedział, że żona nie żyje, a tylko zaniemogła, czyli zemdłała. Oczywiście nie można wykluczyć, że działał z premedytacją i każdy swój ruch dokładnie przemyślał, ale... W każdym razie gdy lekarz zauważył słoik z cyjankiem, stojący na szafce obok łóżka, natychmiast postanowił wezwać Milicję Obywatelską.

Pierwszym dokumentem w aktach sprawy jest notatka służbowa z 22 stycznia 1955 roku, którą sporządził starszy sierżant [Malicz? — niestety, nazwisko nieczytelne]:

„W dniu 22 I 1954 [powinno być 1955 — dop. J.M.] o godz. 9.00 po udaniu się na miejsce przy ulicy Nowy Świat 52 m 17, gdzie nastąpiła zatrucie Cjankiej potasu ob. Tarwid Teresy z przyczyn bliżej nie ustalonych w dniu 21 I 1954 [1955] około godz. 22.00 stwierdziłem że faktycznie leżały zwłoki na tapczanie w pokoju. Również na miejscu był Profesor Grzywo-Dąbrowski, Prokurator Zalewski i Górzyńska z dzieln. Prokuratury W-wa Północ. Na miejscu dokonano zdjęcie miejsca gdzie leżą zwłoki, szkic i oględziny i zabezpieczono dowody rzeczowe, jak słoik ze cjankiem potasu, proszek, filizankę i inne leki. Lekarz pogotowia stwierdził zgon w dniu 21 I 55 o godz. 22.00 [po?] za wezwaniu pogotowia przez jej męża Tarwid Kazimierza, który jak twierdzi nastąpiło [nieczytelne] nieobecności. W dniu 21 I 55 było u niego przyjęcie lecz bez alkoholu, na którym było trzech jego kolegów”.



Fot. 9. Jedno z nielicznych zdjęć mieszkania przy ul. Nowy Świat 52

Nijką nie mogę się doszukać tego trzeciego kolegi, o którym pisze milicjant. Nie będzie to pierwsza niechlujność MO w tej sprawie.

W celu późniejszego zabezpieczenia śladów funkcjonariusze zabrali klucze i zapieczętowali drzwi. Tragicznej nocy profesor rozespiane córeczki pozostawił u sąsiadki, a sam poszedł najpierw do swej matki, skąd razem z siostrą udał się, by powiadomić teściową o śmierci córki. Nie mogli dostać się do środka, ponieważ brama była zamknięta (nie było dzwonek i na parterze nikt nie mieszkał). Wrócili około godziny 6.00, ale sytuacja się powtórzyła. Czekali do godziny 7.30, potem Tarwid musiał stawić się w komendzie. Zostawił więc na głowie siostry kwestię skontaktowania się z jego teściową i poinformowania jej o konieczności odebrania wnuków od sąsiadki.

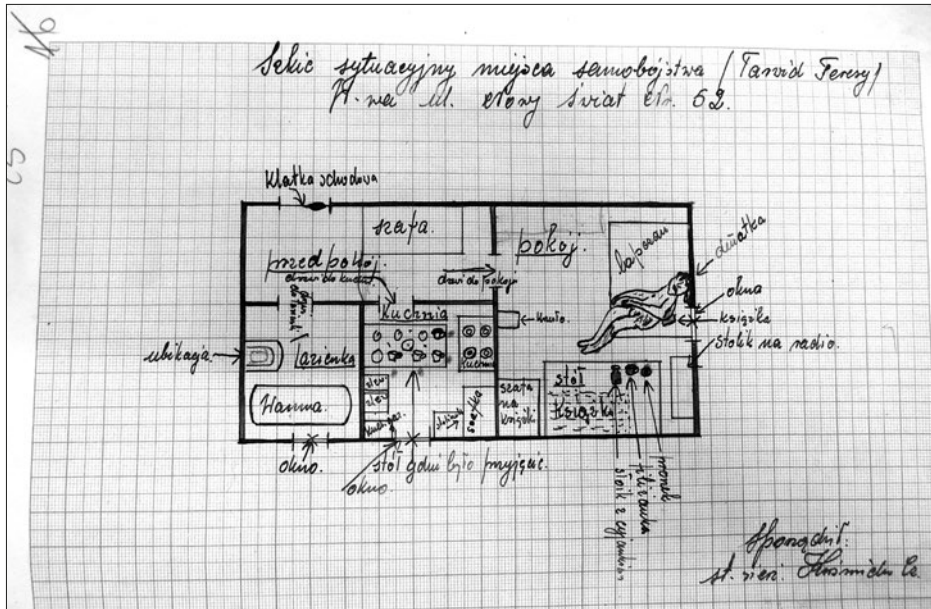
Ciało Teresy Tarwid zostało odwiezione do Zakładu Medycyny Sądowej 22 stycznia dopiero około godziny 17.00, co wynika z notatki służbowej sporządzonej przez Henryka Czerwińskiego z Komisariatu III MO, któremu towarzyszył plutonowy Józef Leżała. Funkcjonariusze przeszukali wcześniej zwłoki, a znalezione obrączkę dzień później odebrał z komisariatu mąż zmarłej.

Zanim przejdę do wyników oględzin i sekcji zwłok, udostępnię dłuższy opis pomieszczenia, w którym znaleziono Teresę Tarwid, ponieważ w aktach znalazłem zaledwie kilka zdjęć — oprócz szkicu sytuacyjnego — i to bez planu ogólnego, być może ze względu na gabaryty lokalu.

„Na wprost drzwi i okna — odnotowywał w protokole oględzin miejsca samobójstwa funkcjonariusz Jerzy Dymecki, któremu towarzyszył Kazimierz Tarwid i sąsiad Jan Jeliński — stół pomalowany na biało przykryty obrusem kolorowym o wymiarach 90 x 45 cm, [...] od strony drzwi I spodeczek bez filiżanki, filiżankę tą przeniesiono na stół do pokoju denatki, o brzeg oparta łyżeczka z białego metalu obok w prawo II spodeczek z kruchym ciastem obłany czekoladą i pokrojony na cztery części pomiędzy nimi nóż w oprawie bakelitowej oparty na podstawie ze szkła, dalej III spodeczek z filiżanką, o kant spodeczka oparta łyżeczka, obok nóż na podstawie, za nożem przy ścianie spodeczek z kawałkiem cytryny, obok spodeczka z cytryną półmisek z chlebem pokrojonym na kawałki oraz garnek, za którym stała bakelitowa popielniczka, w środku niedopałków papierosów nie było za wyjątkiem trochę popiołu. Od naczynia z chlebem V spodek

z wędliną mortadela i pasztetowa pokrojona w plasterki, na wierzchu niedbale położony widelec, dalej VI i VII spodeczek z filiżankami, w filiżance na VII spodeczku [wyraz nieczytelny] na wierzchu pływał plasterek cytryny, pośrodku pomiędzy III a V maselniczka z używanym masłem, między II a VI taca z sześcioma kawałkami śledzia z marchewką i cebulą oraz przykrywką do cukiernicy, która stała na kuchni, przy tacy ze śledziami spodeczek na którym znajdowało się 11-cie cukierków w opakowaniu, obok od strony okna nóż oparty na podstawie, pudełko od zapalek, następnie łyżeczka. Koło nogi stołu kubeł ze śmieciami oraz zlew, w zlewie brudne naczynia, naprzeciw drzwi pod parapetem okna półka z artykułami spożywczymi, na parapecie okna brudne naczynia i kilka słoików, na lewo na ścianie zawieszona kuchenka gazowa, na wierzchu duże patelki, nad kuchenką kaloryfer z pięciu żeberkami, na lewej ścianie od drzwi kuchenka węglowa, na wierzchu z brzegu od drzwi książka zamknięta «Opowieści Zasłyszane» Iwaszkiewicza, dalej garnek gliniany, butelka z sokiem, trzy garnuszki, półmisek z owocami, dwa słoiki, futerał na łyżeczki, dwa czajniki na wodę i esencję, cukiernica w środku cukier i łyżeczka, przykrywa do maselniczki i sześć bułek, obok talerzyk z serem. Za kuchenką półka z naczyniami zasłonięta firanką, na wierzchu stało pięć buteleczek z płynami i inne przedmioty domowego użycia.

W pokoju gdzie leży denatka na prawej ścianie od wejścia w rogu stoi komoda z bielizną, na wierzchu znajdowały się książki i drobna garderoba dziecinna oraz



Fot. 10. Szkic sytuacyjny sporządzony przez funkcjonariusza MO

8 flaszeczek z płynami i jedna z proszkami, trzy pudełka, dwa stoiki, jeden z watą, drugi z klejem, trzy tubki. Obok komody w stronę okna stół, na stole od strony komody książki, na wierzchu leży paczka owinięta w białym papieru przewiązany sznurkiem i pasek nylonowy koloru czerwonego oraz pudełko z kredkami, obok w lewą stronę teczka koloru wiśniowego, pod teczką zegarek na rękę marki «Omega», obok teczki futerał z przyrządami do pisania, za futerałem popielniczka, w której znajdował się zegarek na rękę, popsuta lalczka z masy, bransoletka z bursztynu i zabawka (żuk), od ściany duże doniczki, jedna z kaktusem, druga z ziemią, dalej podstawa z dwoma fotografiami, muszla, zegar (budzik),

lampa z abażurem na drewnianej podstawie, koło lampy od strony okna drewniane pudełko na nici, wieczko rzeźbione, z prawej strony koperta, dwie widokówki i papier listowy czysty oraz program teatru «Ateneum», na pierwszej stronie tytuł «Pojedynek». Obok programu do środka pokoju filiżanka, która była wzięta z kuchni, w środku na dnie osad, na stronie zewnętrznej widoczne ślady linii papilarnych (utrwalone na folię), w odległości 8-miu centymetrów od filiżanki słoik zakryty korkowym korkiem, wewnątrz proszek częściowo skawalony (cjanek potasu) oraz w odległości 3-ch cm. Od filiżanki do środka pokoju biały proszek, od proszku na lewo w stronę okna w odległości około 20-tu cm. lustro, na przedmiotach tych śladów nadających się do utrwalenia nie znaleziono. Między stołem a oknem i tapczanem na podłodze przy ścianie książki, dwie pary butów (narciarki) koloru brązowego, kuchenka elektryczna, żelazko elektryczne, radio z drewnianą podstawką i drewniany kojec dla dziecka. Pod oknem na wprost drzwi tapczan. Na tapczanie denatka w pozie leżącej czubkiem głowy dotyka do wałka z tapczanu na wysokości 9-go żeberka kaloryfera skręconego w prawą stronę od drzwi, prawa ręka rozłożona na tapczanie w prawą stronę, na palcu serdecznym obrączka koloru białego. Lewa ręka oparta na lewej piersi łokciem do tapczanu. Tułów położony na skos w prawy róg tapczanu, lewa noga przy krześle wyciągnięta, prawa noga w pozie siedzącej dotyka do podłogi. Denatka ubrana w bluzkę koloru czerwonego, przepasana w talii białym nylonowym paskiem, spódnica koloru brudno szarego

plecionka z nitek [wyraz nieczytelny], na nogach pończochy przędzowe (grube) koloru beżowego oraz skarpety wełniane koloru brązowego, na stopach bambosze koloru szarego z niebieskim oblamowaniem, na spódnicy miała przypasany fartuch kuchenny w kratę koloru fioletowego, między kratkami kwadraty różnego koloru, na szyji sznur białych koralów. Z lewej strony tułowia od strony okna przy okciu [sic!] gazeta, przy gazecie w dolnej części tułowia leży książka tytułem do wierzchu w stronę okna «Dziewczęta z Nowolipek», otwarta na stronach 196-197, rozdział «Dom Franki», ostatnie zdanie — «dotychczas pozostawiono mały brzeg niezakryty». Pod książką leżała chustka z materiału wełnianego koloru zielonego. Z prawej strony denatki na tapczanie w odległości leżały dwie poduszeczki i sześć kawałków szmatek. Na parapecie okna nad tapczaniem z lewej strony przy ścianie na brzegu [wyraz nieczytelny] lampka elektryczna, za lampką leżał drugi wałek z tapczanu, po środku parapetu przy brzegu leżała czapka z papieru, trzy kwiaty z krepiny i spódnica dla laki, w prawym rogu parapetu zniszczone bambosze dziecinne, nad oknem gzyms na którym upięte firanki z trzech kawałków. Okno zasłonięte powyżej połowy zasłonięte [sic!] żółtą zasłonką. Pod parapetem kaloryfer z siedemnastu żeberk z dopływem ciepła, na brzegach kaloryfera rozwieszono śpioszki dziecięce.

Na lewej ścianie od drzwi po środku na wysokości 2 m zawieszony widoczek i postawka do kwiatów. W odległości około 60 cm od tapczanu na podłodze nocnik dla dzieci. Pośrodku sufitu zawieszony żyrandol trzy ramienny”.